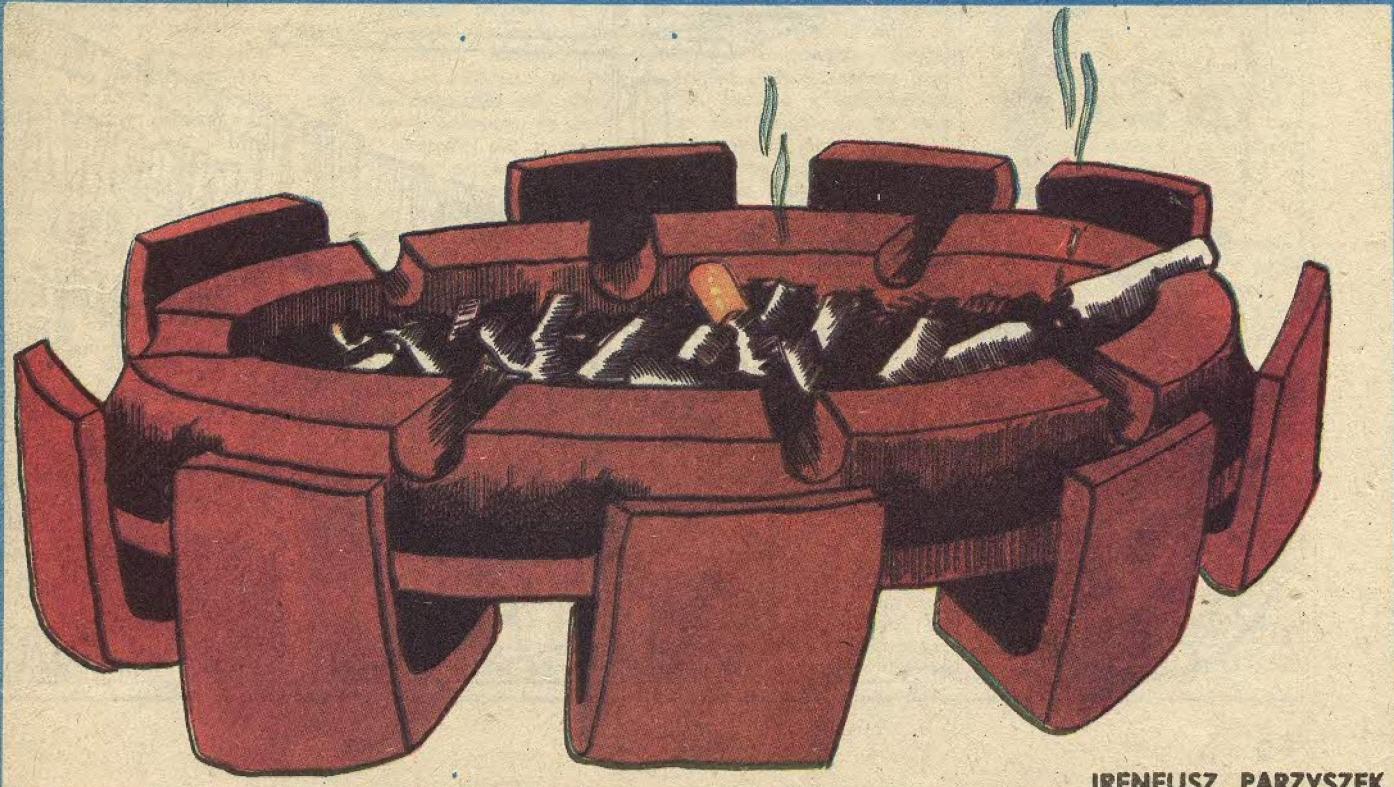
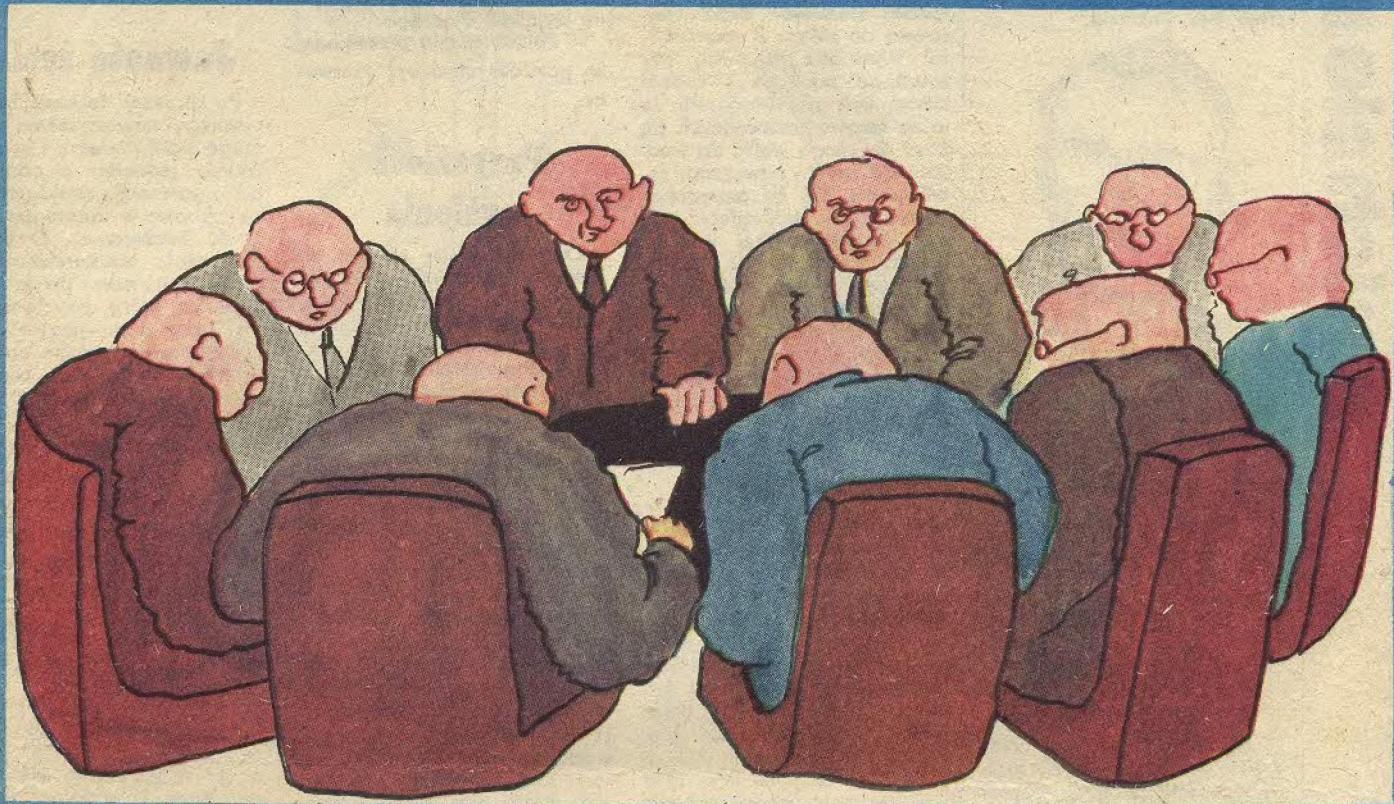


koruza

ROK XXV 22/598 30.XI.1981 R. CENA 8 ZŁ



IRENEUSZ PARZYSZEK

KRAJ NA ZIEMI

Stanisław Majewski

prezes Narodowego Banku Polskiego

„Dyrektor banku wobec inflacji pieniężnej czuje się jak czek bez pokrycia.”



Władysław Majewski

minister Łączności

„Kiedy obejmowałem urząd, oceniąc jego dotychczasowy dorobek ex post, pewien dziennikarz przetłumaczył to łacińskie wyrażenie jako: „z poczty.”



Rajcujący personel

W poznańskim Starym Rynku, tuż u zbiegu ulic Wodnej i Paderewskiego, grono cudzoziemców bez powodzenia usiłowało sforsować drzwi wejściowe do sklepu z upominkami. Wewnątrz rajcowały trzy znudzone panienki i cudzoziemcy byli przeswiadczeni, że to za sprawą zaciemniających się drzwi nie mogą wejść do środka. Ale gdyby nawet znali język polski też by prawdopodobnie nie zdążyli zgłębić sensu wykaligrafowanej na wieszczce informacji: „Sklep zamknięty z powodu zmiany dekoracji”. Bardziej zrozumiałym i możliwym dla nich do przyjęcia byłby napis:

„Sklep zamknięty z powodu nagle zmiany personalu.”

Polska norma

W gminach Oleśno, Dąbrowa Tarnowska i innych, gdzie od lat intensyfikuje się uprawę warzyw, plantatorzy podjęli specjalizację pomidorową.

Spotkały ich jednak wielki zawód, ponieważ nie chciało przyjąć od nich bardzo wytwornego i zalecanego przez instytut warzywnictwa nowego gatunku pomidorów żółtych, zwanych ananasówkami, doskonałych na sałatkę, marynatę i konfitury. Panowie od skupu wyjaśnili dlaczego:

„Polska norma przewiduje, że pomidor musi być czerwony.”

Przyszłość myślenia

Ostatnio wyszło na jaw, że kiedy w przeszłości zabrakło frezów do tokarek natychmiast, bez zwłoki, zwrócono się o dostawę tychże do jednej z angielskich firm. Brytyjczycy odpowiedzieli, że wszem, mają na składzie znakomite frezy, reprezentujące swą jakością najwyższy standard światowy. Niewiele myślać (a jednak myśleć ma u nas wciąż jeszcze kolosalną przyszłość) sprowadzono owe frezy do kraju za cenne dewizy. Okazały się one być istotnie doskonałe, ale tylko

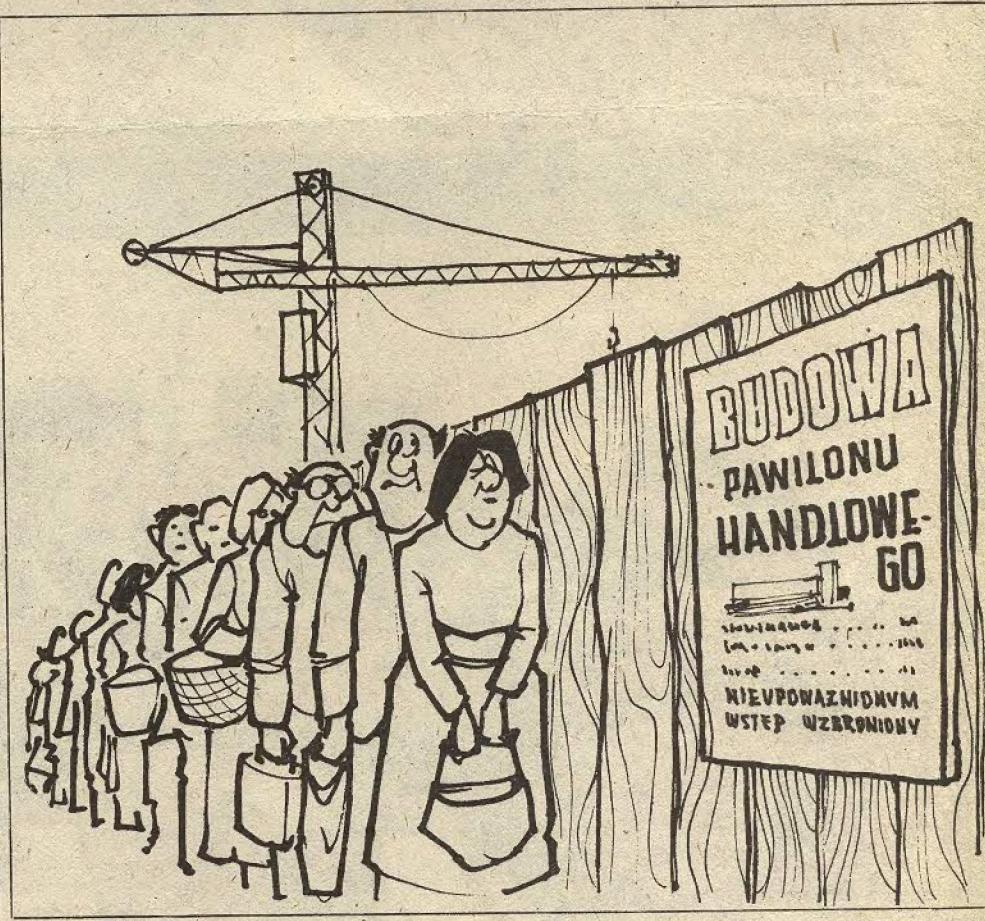
do momentu, kiedy odkryto, iż producentem frezów nie jest firma brytyjska, jeno Jeleniogórskie Zakłady im. Wróblewskiego.

„Kapitalizm targany antagonistycznymi sprzecznosciami stacza się coraz niżej na pozycje cwaniactwa.”

Jawność życia

Po dłuższej debacie zarząd pewnego stowarzyszenia twórczego podjął decyzję o przyznaniu jednemu z członków tej organizacji, znajdującemu się czasowo w sanatorium, pożyczki bezzwrotnej. O fakcie tym miała zaинтересowanego zawiadomić nowo przyjęta sekretarka, którą powocono, by do pisma o powyższym dołączyła konwencjonalne podzielenie. Młoda siostra biurowa zabrała się do rzeczy z dużą skrupulatnością:

„Zarząd stowarzyszenia siedmioma głosami przeciwko pięciu uchwalił przekazanie Panu życzeń rychłego powrotu do zdrowia, a także pożyczkę bezzwrotną na sumę taką a taką.”





Zamiast wywiadu z panią ministrową

Dzisiaj miało być w tej rubryce interview z panią ministrową Krasińską, ale niesłyszy, w przeciwieństwie do swego małżonka, niechętnie udziela wywiadów, aby – jak twierdzi – nie potęgować i tak już wielkiej popularności ministra od niepopularnych decyzji. Pani ministrowa nie zgodziła się co prawda na wywiad, lecz była tak dalece uprzejma, że nie odmówiła rozmowy. Wynikało z niej, że owszem uradowała ją zaszczytny awans męża i w pierwszym momencie czuła się pochlebiona, lecz później przeraził ją ogrom odpowiedzialności, jaką się wiąże z piastowaniem tego stanowiska.

Zainteresowało mnie, czy w pełni akceptuje dość kontrowersywne bądź co bądź decyzje ministra w sprawie cen i dowieziałem się, że o ile zna dobrze tego ministra, to kieruje się on w swej historycznej misji nie tylko szczerym entuzjazmem, ale także racjonalnymi kryteriami, będącymi wynikiem wieloletnich badań.

Nikt zapewne nie wątpi w

nieskazitelność intencji ministra, natomiast jest chyba trochę osób, które nie podzielają godnego zazdrości optymizmu co do skutków podwyżek cen. Wszyscy zgadzają się tylko z hipotezą, że ceny są nieprawidłowe, lecz pogląd, że są zbyt niskie podziela już znacznie mniej osób. Pani ministrowa, oczywiście, jak na dobrą żonę przystało, bez zastrzeżeń popiera koncepcję swego małżonka, ale jako gospodynki domowej żywi, jak się zdaje, pewne obiekty. Zdradziła mi, rzecz jasna nie w sekrecie, że cała rodzina niepokoi się o reputację tego prostoduszniego, aż piekielnie inteligentnego profesora, który postanowił w praktyce sprawdzić swe akademickie teorie. Myślę, że ten niepokój jest całkiem zbędny i jeśli nawet ministrowi Krasińskiemu nie uda się wypełnić do końca swej życiowej misji, zapisze się w pamięci potomnych jako wielce sympatyczna postać telewizyjna. Cechuje go rzadko spotykany refeleks, niezmienna pogoda ducha, szczerość, otwartość, pasję i silna wiara w to co mówi, a mówi przeważnie, że największym szczęściem dla ludzi jest podwyżka cen i bardzo się dziwi, że rozmówcy mu nie wierzą. Nie chciałbym być posądzony o złośliwe czepianie się pana Ministra,

który właśnie na temat czepiania posiada bardzo oryginalną teorię wykładającą się jak następuje: ludzie niejako chcą się przyczepić do kogoś, kto wierzy w to, co robi, a On, minister, nie ma nic przeciwko temu, żeby się właśnie do niego przyczepiali. I tu oczywiście ma rację, gdyż udręczeni w kolejkach klienci chętnie uwierzą każdemu, kto im powie, że dzięki reformie cen nastąpi obfitość dóbr na półkach sklepowych. Zresztą wszystkie dotychczasowe podwyżki, łącznie z wprowadzeniem cen komercyjnych, miały identyczną argumentację.

Zapytałem panią ministrową czy także całymi godzinami stoi w kolejkach, i dowiedziałem się, że istotnie, choć nikt jej w to zapewne nie uwierzy, większość swego czasu, niesłyszy, spędza ostatnio w długich ogonkach, a co się tam nasłucha o swym małżonku, to pozostałe jej słodkie tajemnice. Nie zdradziła mi czy opinie te przekazuje mężowi, natomiast moja ciekawość co kupuje na kartki zamiast alkoholu zaspokoiała krótkim stwierdzeniem: alkohol!

W ogóle rozmowa ta, choć nie autoryzowana, toczyła się w szczerzej, przyjaznej atmosferze, pani profesorowa ubierała, że mąż musiał zostawić rodzinę w Poznaniu i zamieszać w hotelu Sejmo-

wym w Warszawie. No cóż, taki już jest los żon mężów opatrznosciowych, którzy jeśli zdradzają swą żonę, to tylko z całym narodem i w których mitują się bataliony gospodyn domowych. Jedna z licznych wielbicielek naszego aktualnego prominenta na ministerialnym stolcu nie bacząc na jego stan cywilny wyznaje publicznie w „Kobiecie i Zyciu”: „Zakończam się w ministrze Zdzisławie Krasińskim. Nie pytajcie jak to się stało, ani jak to możliwe, biorąc skład naszego rządu. Uczule opanowało mnie nagle, pewnego deszczowego dnia i rano, nasilało się w miarę patrzenia, słuchania i porównań”.

Pani ministrowa zapewniła mnie, że jest spokojna o przyszłość swego małżeństwa i swej rodziny, jako że przynajmniej ten członek rządu cieszy się jej pełnym zaufaniem. A swoją drogą to dziwne, indywidualnie wszyscy członkowie naszych władz rządowych są ludźmi dużego formatu i wielkiej klasy, a zbilansowani w jeden rząd czynią wrażenie jakby nieco traciili na swej ołbrzymiej wartości, a nawet i na zaufaniu.

KAROL BĄDZIAK

Napad na kasjerkę

— Jakie uczucie ogarnia kasjerkę bankową kiedy klient wręcza jej kartkę z nieudolnie wykaliografowanym żdaninem: „Pieniążek! 100 tysięcy zł szybko! cicho! mam przy sobie groźny materiał wybuchowy”. Na to pytanie mądrodajnie i wiarygodnie może odpowiedzieć w Polsce tylko jedna kobieta, kasjerka kasy nr 1 NBP w Poznaniu — MARIOLA DOMAGALA, której pewnego południowokwiatowego poranka właśnie identyczny tekst do przeczytania podał podejrzany osobnik.

— I co pani wtedy zrobiła?
— Zgodnie z instrukcją opowiadali się — mówi Mariola D. — gdyż najgłupsze co można w takim momencie zrobić to wpaść w panikę.

— Jak wyglądał ów bandyta?
— Był to ponury, groźny, nieogolony drab, zupełnie jak z filmu kryminalnego.

— A naprawdę skąd był?
— Z Obornik Śląskich, jakiś zaopatrzeniowiec, imieniem Seweryn, nazwiska nie zapamiętałam.

— Chyba pani jest wdzięczna temu groźnemu rozbójnikowi, dzięki niemu stała się pani w Poznaniu bohaterką dnia.

— Jaka tam ze mnie bohaterka, wyjąłam z kasy 100 tysięcy, i co prawda trochę się ociągając, wręczyłam mu.

— A on co na to?
— Wydaje mi się, że był bardziej zdumiony ode mnie, lecz pieniążek szybko schował do kieszeni i ruszył w stronę wyjścia, a wtedy ja podniósłam krzyk na cały bank i równocześnie uruchomiłam urządzenie alarmowe.

— Co pani mówi, podobno urządzenie było nieczynne?

— Jak pan śmie, to nie prawda, to insygnacja, było czynne.

— Nie szkodzi, rozumiem, panią, nikt nie chce zadzielać z własną dyrekcją, przyjmuję tę wypowiedź do wiadomości i na wszelki wypadek proszę mi odpowiedzieć na kilka bezpieczniejszych pytań w rodzaju: czy pani od dziecka lubi liczyć pieniądze? Co pani sprawia większą przyjemność: szesnaście banknotów czy brzęk bilonu?

— Owszem, lubię liczyć pieniądze, lecz te nowe, czyste, świeżutkie, banknoty stare, zmienne, zniszczone, brudne są odpychające.

— A wie pani, że ja się żadnych banknotów nie brzydzę, nawet dolarami gardzę w sposób umiarkowany. Jeśli ma pani przypadkiem pod ręką jakiś zmień, odrażający banknot, to proszę uprzejmie włożyć mi go do teczki.

— Jak mam rozumieć tę propozycję?

— Proszę pani, chyba pani sobie zdoje sprawę z tego, że tak wywiad w „Koruzeli” musi kosztować. I jeszcze jedno: proszę mi odpowiedzieć natychmiast jakie jest największe marzenie kasjerki?

— Zeby się kasa zgadzała.

— No to już zrezygnuję z tego banknotu. A najważniejsza cecha zawodu kasjera bankowego?

— Uczciwość.

— Dziękuję, to zupełnie jak w dziennikarstwie.

Rozmawiał
Karol Badziak



2



ANDRZEJ STOK

○ Jego postawa zależy od tego, ile mu postawią.

MARIAN KARCZMARCZYK

○ Zamiast telewizyjnej „Makowej panienki” proponuję się w dobranocce dla dzieci „Kartkową panienkę”.

○ Co za historia!
Olejów do smarowania brak, ale smary do historii dostajemy.

○ Kooperujmy z prawdą, nawet gdyby była ona nieopłacalna.

ZBIGNIEW WAYDYK

OCH JAK MIEŁO
BYĆ POZA ZASĘGIEM
CENZURY

JAN KILKOWSKI



JACEK FRANKOWSKI

Gawędy filozoficzne

1 Przed wieczorem rosiłem się na balkonie korzystając z ostatków babiego lata. Balkon stał się moim ulubionym wczasowiskiem w tym sezonie — siedząc na balkonie nie muszę nikomu oddawać kartek na mięso. No więc, kiedy tak siedziałem, rozległ się wielki krzyk: — Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy!

Zaintrygowało mnie to. A więc nawet w czasach tak pełnych napięć możliwe jest szczęście pełne. Zaraz też wychyliłem się z pelargonii, aby zobaczyć, kogo to los tak uszczęśliwił?

Był to chłopiec nieduży i trochę umorusany. Lat miał nie więcej jak pięć, oczy mu jaśniły, biegł asfalem (bo na moim osiedlu niczego poza asfalem nie ma) i wołał właśnie: — Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy!

Więc krzyknąłem na niego z góry, zapytując, dlaczego to taki on szczęśliwy, w nadziei, że nareszcie rozwiąże zagadkę szczęścia, której dotąd rozwiązać mi się nie udało. Wówczas on wyjaśnił, z trudem lapiąc dech: — Jestem szczęśliwy, bo znalazłem pięćset złotych.

I pobiegł dalej, wykrzykując jak wcześniej, a ja zaraz znów oklapłem i zjadłem trzy gruszkę, bo incydent ten potwierdził moje stare podejrzanie, że szczęście nie istnieje.

Mój szczęśliwiec spod balkonu również kiedyś dojdzie do wniosku podobnego, kiedy po latach jako staruch w pelargonach będzie wspominał ten dzień, kiedy to najpierw znalazł pięćset złotych, a następnie musiał je oddać matce i ojcu na kaszę i pa-pierochoy.

2 Rano jak zwykle wybrałem się do roboty, bo do niczego mądrzejszego się nie nadaje, i idąc zauważyłem w klatce schodowej ulotkę. Ulotka w zasadzie nie czytam, bo wszystko, co w nadmiarze zmniejsza apetyt, a moją niechęć do ulotek przesadziła gąbka na moim osiedlu, gdzie wywieszono zd szkłem, w równym porządku dziesięć różnych ulotek o tej samej treści dotyczącej zwalczania spekulacji. Ulotki te wyekspowano z tak urzędniczą pedanterią, że wywoływały we

mnie uczucie zupełnie sprzeczne z intencją ich autorów, a mianowicie uczucie pełnej solidarności ze spekulantami.

Ale wracajmy do sprawy: Ulotka na schodach jednak na chwilę mnie zaintrygowała, może właśnie dlatego, że została nalepiona pojedynczo i na wysokości oka, a więc zgodnie z psychologią propagandy wzorowej. Lecz brzmiała niestety tak: „Porządnym ludzi obowiązek mycia schodów nie trudzi!” I zaraz poczułem zwykłą niechęć do ulotek, bo choć forma była wzorowa, przecież treść opłakana.

Mycie schodów mianowicie zawsze trudzi, bez względu na to, czy ktoś jest porządnego czy nie. Jeśli ktoś jest porządnego a słabowity, schodów nawet nie powinien myć, a jeśli jest porządnego i krzepki, niekoniecznie akurat w tym zajęciu musi demonstrować swoje etyczne walory. Co więcej, obowiązek mycia schodów wcale nie jest obowiązkiem ani moim, ani porządnego ludzi, tylko spółdzielni mieszkaniowej, która zamiast myć schody wymyśla głupie ulotki i wmaivia porządnym ludziom, że powinni myć schody za spółdzielnię, której myć się nie chce. Stosuje ona w dodatku metody niegodne — chce się odwołać do honoru lokatora i chce go zawiadzić, choć wstydzić powinna się sama, a honoru też trochę powinna mieć skoro jej za to płaci.

A więc — nie ma u nas propagandy jak trzeba. Marnie nasze widoki.

3 Przysłuchiwałem się perorom chłopca, który za wszelką cenę chciał się wyróżnić z gromadą innych chłopców rosiadłych w piaskownicy, którzy jednak na jego walory pozostawali głusci. Nawet oświadczenie: — A mój tatus jest dziennikarzem — nie wywarło na nich żadnego wrażenia, co było zastanawiające jeśli uwzględnić wysoki prestiż tego zawodu. Wówczas chłopiec ten zastanowił się i krzyknął:

— A moja siostra ma roba!

Tym razem odniósł sukces pełny. Na resztę popołudnia został w piaskownicy sam.

Z incydentu tego płynie optymistyczny wniosek: Zawsze, nawet w najgorszych czasach można czymś zaintonować.

JANUSZ PRZYBYSZ

PRZYBYSZ

Dzień dobry, tu Andrzej Waligórski z Wrocławia

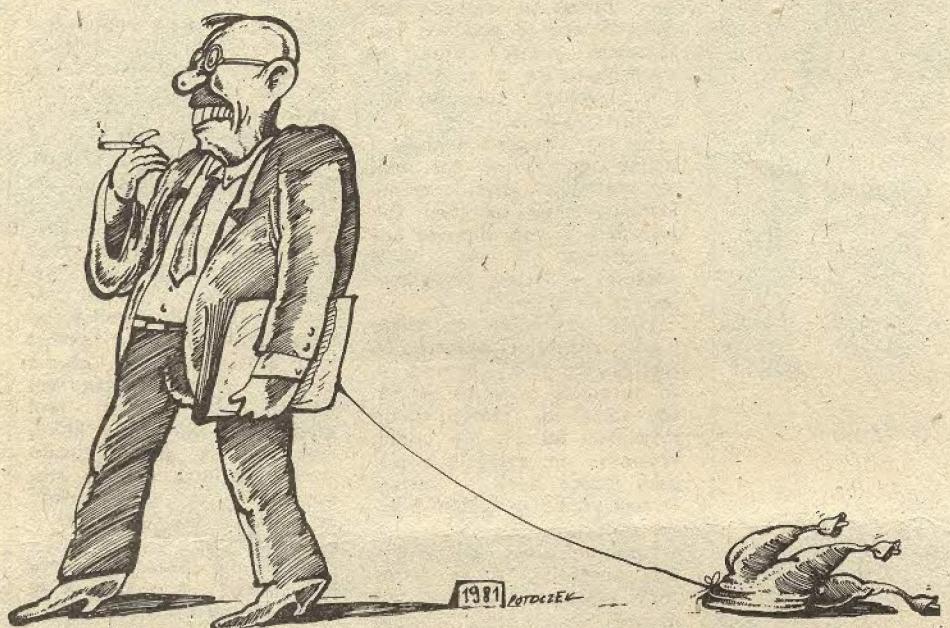
Jako człowiek starszy, to znaczy nie w ogóle tak zowany starszy człowiek, tylko człowiek starszy od tych ludzi, którzy są ode mnie młodsi, otóż jako taki właśnie starszy od młodszych, mam sobie przypomnieć jak spędzałem

wakacje w sezonie jesiennozimowym i to w różnych ciężkich czasach, żeby ludzie mogli z tych moich doświadczeń skorzystać, bo teraz też mamy ciężkie czasy. Otóż takie ciężkie czasy to ja pamiętam trzy, bo obecny jest czwarty. Pierwsze to były jeszcze przed wojną za sanacji, i wtedy wakacje były oczywiście ogromnie uciążliwe, bo wyjeżdżało się w góry, z mnóstwem waliz, kufrów i ogromnych koszy na bieliznę pościelową, gdyż wtedy się jeździło z własną bielizną, a

oprócz tego z własną służącą, co było takie uciążliwe, że odetchnałem z ulgą gdy sanacja się skończyła, z tym że niestety tuż po niej zapa- nowała okupacja. W czasie okupacji nie było mowy o wczasach sensu stricto, chociaż można było nagle i nie- spodziewanie wyjechać, a można było i dobrowolnie, do czego nakłaniała propaganda wizualna, przy pomocy plakatów przedstawiających pyzatą i zadowoloną parę w służbie niemieckiej, uzupełnianą zazwyczaj przez ma-

łą dywersję zachęcającym napisem: „Chcesz chorować na suchoty – jedź do Niemiec na roboty”.

Po wojnie natomiast był znowu trudny okres i jeździło się na wakacje pomagać PGRom i spółdzielniom produkcyjnym. No i w zasadzie wszystkie te trzy modele są nadal aktualne. W góry dalej można jeździć, wprawdzie bez własnej bielizny, ale z własną żywnością. Dziewki służebnej nie radzę wozić, bo zawsze można przygadać na



WACŁAW POTOCZEK



Rola mediacji

Nastroje są takie jakie powinny być o tej porze roku. Płyną one z traski i silnego pragnienia. Ogół wicepremierów, wicemarszałków i wiceprzewodniczących jest nawet przeciwko wojnie domowej.

Do nadmistra Bobrowca zadzwonił telefon. Bobrowiec jest członkiem związków branżowych. Telefon odebrał asystent Szczygieł z Solidarności. „Kto mówi?” – zapytał Szczygieł. „Redaktor Samitowski” – zażartowała telefonicznie szwagierka Bobrowca, Jabłonka, członkini związków autonomicznych. Prowokacja była oczywista. Szczygieł zwołał wiec, na którym uchwalono protest. Bobrowiec zwołał zarząd przeciwko protestowi. Drukarze całą pulę papieru przeznaczyli na afisze przeciwko dyrekcyi. Minister opowiedział się za dyrekcją. Komisja regionalna uznała, że gotowość strajkowa w zakładzie Szczygieł i Bobrowca jest przedwczesna. W zakładach ogłoszono więc strajk okupacyjny.

„Samorząd w kajdanach” – wołały Szczygieł, Wyżyk i Zbikówka. „Niech no się tylko ta cholerna odnowa skończy” – pomrukiwali starzy bojowcy, którzy przeszli do konspiracji. „Wszystko dla młodzieży” – tworzyła młodzież. „Mężczyźni do roboty, kobiety do kolejek” – krzyczały siły związane z remontem przyśpieszonym.

Jak widać z powyższego, winę ponosi w całej sprawie rząd, którego notoryczna opieszałość stała się zarzemieniem nowego napięcia. Nikt z wicepremierów nie udało się bowiem dotąd na negocjacje. Opoźnia się też kolejne ustawy. Bez uchwalenia ustaw Sejm, który stał się Sejmem nie może uzyskać pełnej wiarygodności stojąc na czele

miejscu. Wyjazdy do Niemiec znowu aktualne i nawet mała dywersja przestała się wtrącać. A PGry w dalszym ciągu potrzebują pomocy. Pozostaje tylko kwestia wyboru, i tu zaczynają się kłopoty, bo Polak jak ma przed sobą trzy ewentualności, to przeważnie zaczyna błągać, że nie przedstawiono mu czwartej, i zwykle zostaje w domu. Ja też na razie zostaję.

rewolucji. Winę ponosi też stara KKP, a osobiście nowe Prezydium, które pełza z punktu widzenia jednych, a z punktu widzenia drugich idzie skacząc po góra ch. Oczywiście idzie na kompromisie, po góra ch abstrakcji wedle specjalności naukowej ekspertów. Dla dyrekcji przygotowano te dy pośpiesznie taciki.

Na szczęście, konfliktem między Szczygiem, Bobrowcem i telefonom, którym posłużyła się szwagierka Jabłońska zatrzymała się mediatorzy.

Mediatorzy wskazali na wiele tradycje. Na potrzebę rozsądku. Na miłość bliźniego. Na nabyte poczucie. Na doświadczenie. Na samowystarczalność. Na odpowiedzialność. Na samodzielność. Na samorządność. Na samofinansowanie.

Mediatorzy wskazali też na siebie podpisując się pełnym imieniem i nazwiskiem każdy. Tym samym ponownie przeszli do historii.

Teraz zatem dopiero świta nadzieja utrzymania linii porozumienia. A nawet całej płaszczyzny. Może kiedyś również całej przestrzeni porozumienia?

Gdyby nie system kartkowy, porozumienie, co najmniej liniowe, doszłoby do skutku przy trzech półfiltrówkach i funkcji kielbasy krakowskiej. Taka jest opinia niezależnego eksperta profesora nadzwyczajnego J. Lymczasem zamiast kielbasy krakowskiej mamy w tych czasach „Gazetę Krakowską”. Przez całe lata Bobrowiec ze Szczygiel'em porozumiewali się w pełni przy pełnych musztardówkach. Dobrze im było szkolniaków ustrój na tym cierpią. Nie ma już powrotu do zasadów przedsierpniowych. Jeszcze w porę nie zostanie zażegany cały kryzys społeczno-gospodarczy, a wszyscy winni i półwinni nie zostaną surowo ukarani — Szczygiel z

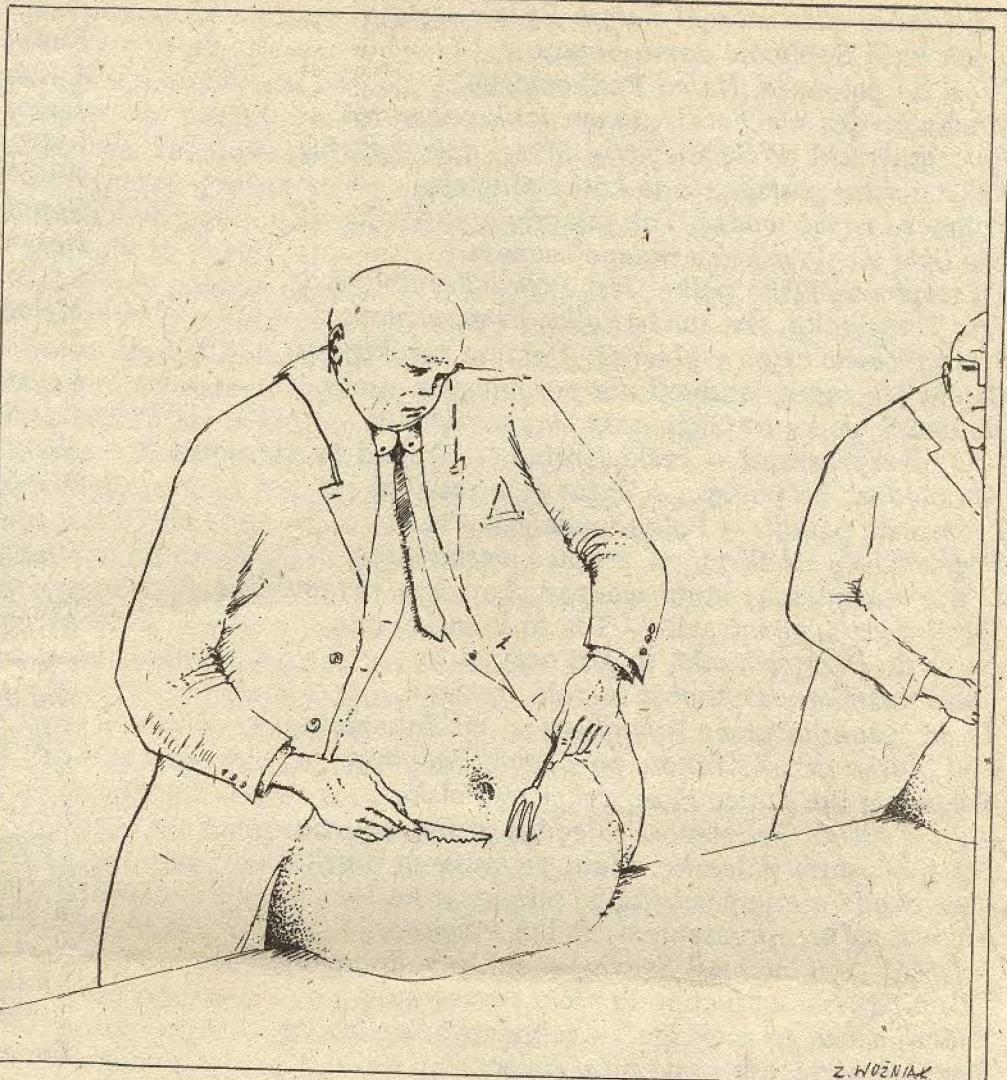
Bobrowcem mogą w najlepszym razie dać sobie publicznie po mordzie. Byłoby to – twierdzi profesor J. – w sumie najkorzystniejsze wyjście z sytuacji, o ile w międzyczasie prokurator nie nałoży na Szczęścia aresztu prewencyjnego, a „Głos Wolny Wolność Ubezpieczający” nie uzna Bobrowca za agenta carskiej ochrony. Wtedy to nawet apel 35 tysięcy intelektualistów nie pomoże.

„Historia wcale się bowiem nie zaczyna od góry – konkluduje profesor J. Ona się robi wyłącznie na dole. Na górze odbywają się stałe bataliony historii jako sposób przechodzenia do niej przez osoby do tego upoważnione”.

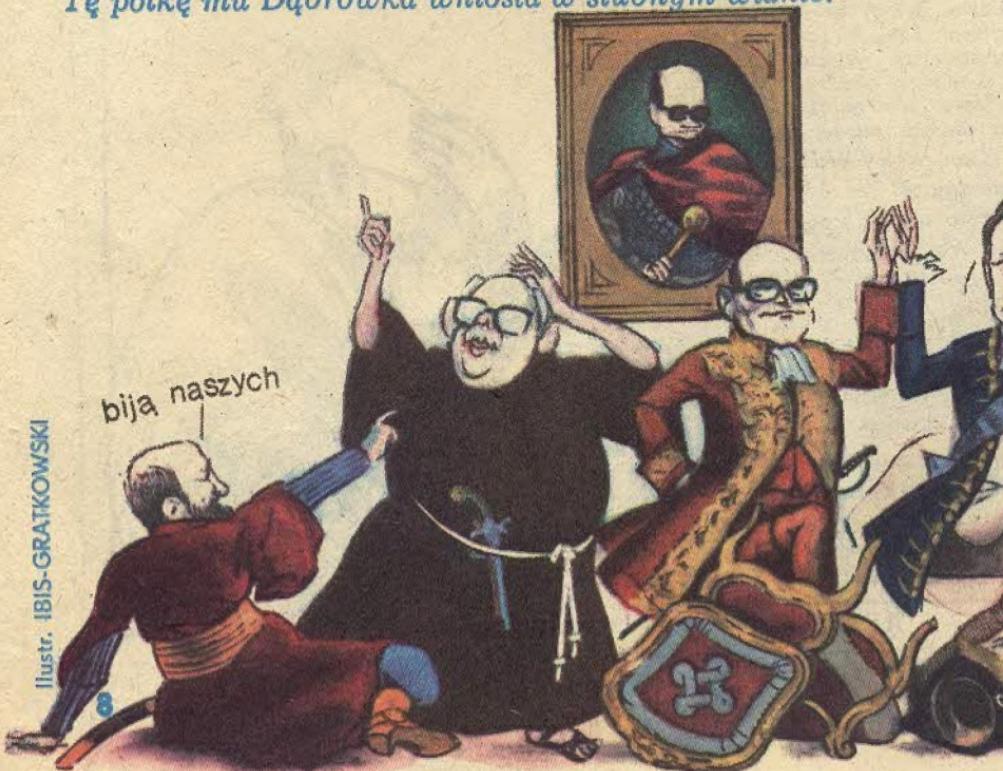
JULIUS

ZBIGNIEW WOŹNIAK

Z. WOZNIAK



Już i tańce czas zacząć! Zatem Sędzia wstaje
I, jak każą Sopliców domu obyczaje,
Prosi do poloneza. Na co Podkomorzy
Machnął ręką niechętnie, twarz lekko nasrożyl,
Po czym rzekł do Sędziego: — Mości dobrodzieju,
Ilekroć tutaj goszcze, to w kółko Macieju
Poloneza wciąż wodzę. Tak jak gdyby w kraju
Nie było wcale tańców innego rodzaju.
Tu wspomnę tylko polkę. Jest Polka-Tramblanka,
Jest Trzęsionka, jest także Polka-Przepychanka.
Jest przeto w czym wybierać. A zatem spróbujmy,
Czym, jak tuszę, tradycji nie przyniesiem ujmy,
Bo wszak polka to także nasz płas narodowy.
— O, przepraszam! — rzekł Hrabia. — Pogląd to nie nowy
Ale błędny, bo polkę... — Tutaj głos zawiesił
I wreszcie palnął: — Polkę wynaleźli Czesi!
Podkomorzy się skrzywił, zrobił kwaśną minę.
— Nie rozmieszaj mnie waćpan, bo mam przepuklinę.
Tutaj Sędzia się wtrącił: — Toż to kpiny czyste,
Bo co do Przepychanki, to jest oczywiste
I nad wszelką wątpliwość zostało zbadane,
Że od Gdańska przez Bydgoszcz aż po Zakopane
I od Śląska przez Kraków po Ziemię Podolską
Nazywają ten taniec Przepychanką Polską!
— Ja — rzekła Telimena — niegdyś w Peterburku
Też tańczyłam poleczkę. Mam jej nuty w biurku.
Lecz chyba nie jest polska, bo wskazuje na to
Nazwa, za przeproszeniem: Polka Piccicato.
— Dość! — wybuchnął Sędzia. — Jak już długo żyje,
Tak nigdy nie wnikalem w aśki perwersje.
Tańcuj aśka co zechcesz! — zakończył Soplica
Swoją dysertację jasną niby świca.
Ale nie dla Hrabiego. — Wiem to — rzekł Horeszko,
Że gdy książę Mieczysław ożenił się z Czeszką,
Tę polkę mu Dąbrówka wniosła w ślubnym wianie.

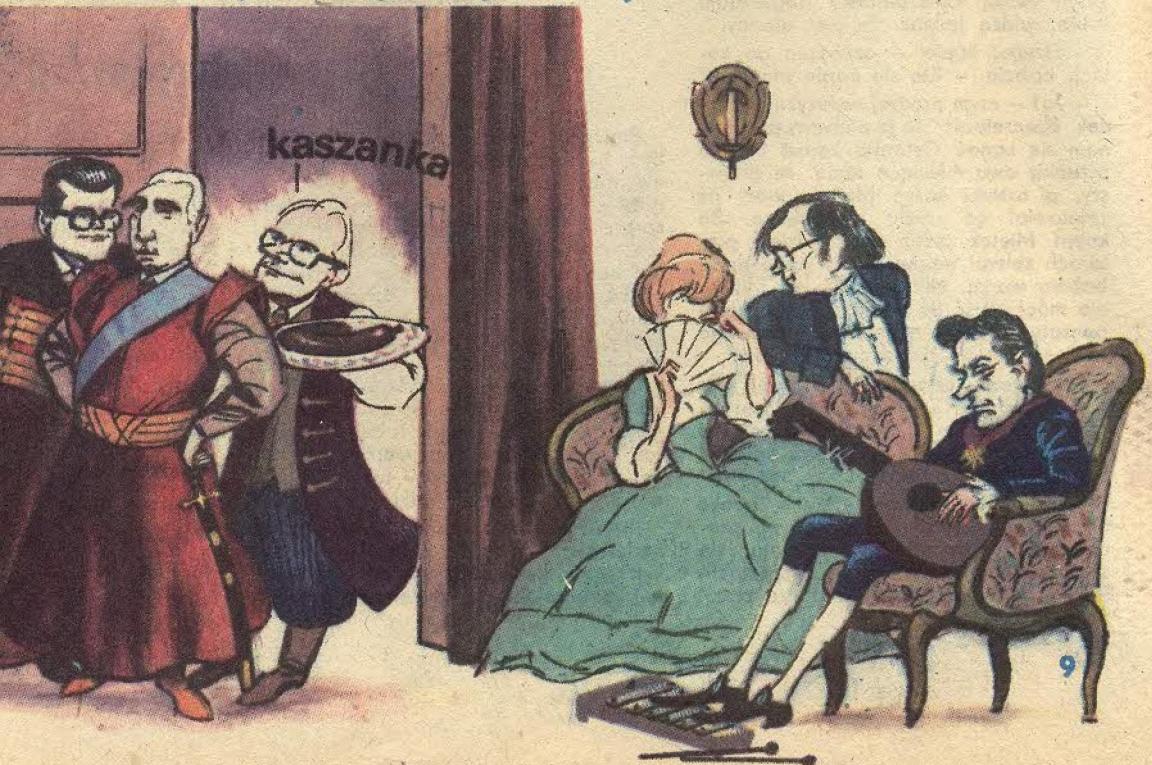


POLKA

Po tych słowach wynikło małe zamieszanie,
Każdy pragnął wyłożyć swoje własne racje,
Jeśli się przekrzykiwać, wdawać w dywagacje,
Jeden w stronę drugiego wygrażać kułakiem
I wzajem się przepychać jak Polak z Polakiem
Wykrzykując ku sobie uczone cytaty.
Sypnęły się protesty oraz postulaty.
Natenczas Wojski skinął w kierunku kapeli
I dworscy muzykanci od ucha ucięli
Melodię w rytmie polki. Zrazu wszyscy wstali
Zaskoczeni. Wnet jednak z miejsc swych się porwali
I rytmem urzeczeni jeśli podrygiwać,
Kręcić się, obracać, raz wraz podskakiwać.
Niektórzy wyżej nerek. Jeden tylko Ryków
Wstrzymał się od udziału w harcach taneczników.
A tymczasem wokół trwa polka ochocza,
Niekiedy słyszać prośbę: — Tylko nie po oczach!
Zaś Tadeusz w takt polki przytupując z werwą
Rzekł do Podkomorzonego: — Ty stara konserwo!
Chwilę się przepychali, wykładali racje,
Nagle jednak Tadeusz zerwał negocjacje
Nie podając powodów. Jeden tylko Ryków
Nie wtrącał się do sporu obu przeciwników.
Za to inni się rwali raz po raz do akcji
Tworząc sekcje, odłamy oraz kilka frakcji.
W tym tumultie nie słyszać ni słowa z kazania,
W którym Bernardyn wzywał do opamiętania.
Nikt nie zważył na pułap, gdzie tymczasem zawisł
Nadzwyczaj niebezpieczny inflacyjny nawis.
Teraz już także Hrabia nie przebierał w słowy
Radząc Sędzi, by spływał na falach odnowy.
Lecz ten nie chciał tłumacząc, że jakkolwiek błędził,
To jest faktem bezspornym, że on tutaj rządzi.
A tuż obok zajęci najgorętszym sporem



Przepychali się wzajem Rejent z Asesorem.
Szło o to, że gdy Rejent wycinał holubce,
Asesor był go nazwał pospolitym głupcem.
— Tylko nie pospolitym! — protestował Rejent,
A widząc, że adwersarz z protestu się śmieje,
Przybrawszy groźną minę spojrzał nań ze wstrętem
A następnie publicznie nazwał decydentem.
Tego było za wiele! Asesor się żachnął
I dobywszy pałasza groźnie się zamachnął.
Skrzyżowały się klingi. Trafili frant na franta!
Ten mu wyciął holubca, tamten mu kuranta.
Tu na dobre zaczęto imać się pałaszy.
Ktoś płaczliwie zakrzyknął: — Bracia, biją naszych!
Na słowo NASZYCH wszyscy lekko oglupieli
Nie wiedząc jako NASZYCH od innych oddzielić.
Kto jest z kim? Nie wiadomo w tym galimatiasie,
Bo jeden od drugiego na gwałt odcinasie.
Tak więc Sędzia się odciął od Podkomorzonego,
Horeszko od Soplicy, Soplica od niego.
Tadeusz chętnie odciął się od Telimeny
Nie podając przyczyny. Zasię w głębi sceny
Asesor w milczeniu odciął od hożej Krajczanki,
A Protazy z Gerwazym od Podkomorzanki.
I tak każdy jak może wzajem się odcina,
Już nikogo nie łączy żadna pępowina.
Więc wzniesione pałasze ku ziemi opadły,
Gdy wtem w drzwiach stanął Wojski, na twarzy pobladły
Podbiegły do Sędzi. Widać z postaci i z miny,
Ze ważnej i niezwykłej jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,
On, dysząc, rzekł: — Kaszankę dowieźli, moszpanie!
Po tych słowach w zebranych jakby piorun strzelili,
Stali niemi czas jakiś jakby skamienieli
Aż Sędzia skinął dłonią. Wtenczas wszyscy siedli
I kartkową kaszankę milcząc żwawo jedli...



ANDRZEJ KOZIÓŁ

A JEDNAK JESTEŚMY SZCZĘŚLIWĄ RODZINĄ

/Wspomnienia z okresu po I Wojnie Światowej/

Dziadek znów zapominał o łuczywie. Można i bez łuczywa. Można, ale ciężko. Trudno cały wieczór siedzieć po ciemku. Dzieci dowadzą, kużynka mojej żony piszczy w kącie i żonat zaraz zaczyna mnie głośno podejrzewać... Bez łuczywa ciężko, nikt jednak dziadka nie strofuje. Babci tylko coś tam mruczy pod nosem, ale babci wolno.

Na razie jeszcze niezbyt ciemno. Skupiamy się w krąg wielkiej miski, do której babcia wsypuje góre parujących ziemniakiem. Po chwili ziemniaki pokrywa cienka warstwka smażonej z bocznikiem cebulką. Łykały ślimkę i każdy chwyciła za łyżkę. Kużyn Adolf też.

— A ty tu czego! — pokrzykuje na Adolfa babcia. — Dlakąd wybierasz się z tą jajką? I to jeszcze jaką se wystrugat, wielgachną niczym szufa!

Kużyn Adolf milczy, bo niby co ma powiedzieć? Rodzinne prawo, to rodzinne prawo. Nie dateś nic do wspólnej miski — nie będziesz z niej jadł.

Jemy w milczeniu i pośpiechu, tylko kużyn Adolf nonszalancko pogwizduje sobie, widząc jednak, że jest głodny.

— Dzisiejszej kąpieli — oznajmia po kolacji babcia. — Kto się kąpie pierwszy?

— Ja! — czym przedzej wykrzykuje dziadek. Bezczelność! To ja pierwszy powinieneś się kąpać. Ostatnią kąpiel brałem przecież dwa miesiące temu. Ja pierwszy, a ostatni kużyn Mietek, który aż zmatował od miału węglowego. Bo kużyn Mietek przez cały tydzień przy torach zbierał węgiel do uszytego przez babcię worka. Nikt by już po Mietku nie mógł wejść do wannы. Jako rekompensatę dostanie prawo dodatkowego zaciągnięcia się dziadkowym skretem.

To następny ceremoniał. Dziadek starannie odrywa kawałek starej gazety, sypie wykruszone z niedopałków resztki tytoniu. Kilka zręcznych ruchów palcami i już jest wielki, mocno ubity papieros!

Któryś z dzieciaków wyciąga hubkę i krzesiwo, rodzinna pamiątka po pradziadku. Palimy powoli, zaciągając się starannie. Mnie przysługują dwa sztachnięcia, ponieważ moja żona nie pali.

Kużynka Monika cienkim, mocnym drutem, dzieli na drobne kawałeczki kostkę mydła.

— Musi wystarać się na miesiąc — przypomina, wręczając każdemu po kawałeczkę. — A żeby myć popiołem...

W przedpokoju dopada mnie dziadek. Oczy śmieją mu się szelmowsko.

— Nie mogłeś, dziadek, pamiętać o tym łuczywie? — zapytuję go z lekka naganą w głosie.

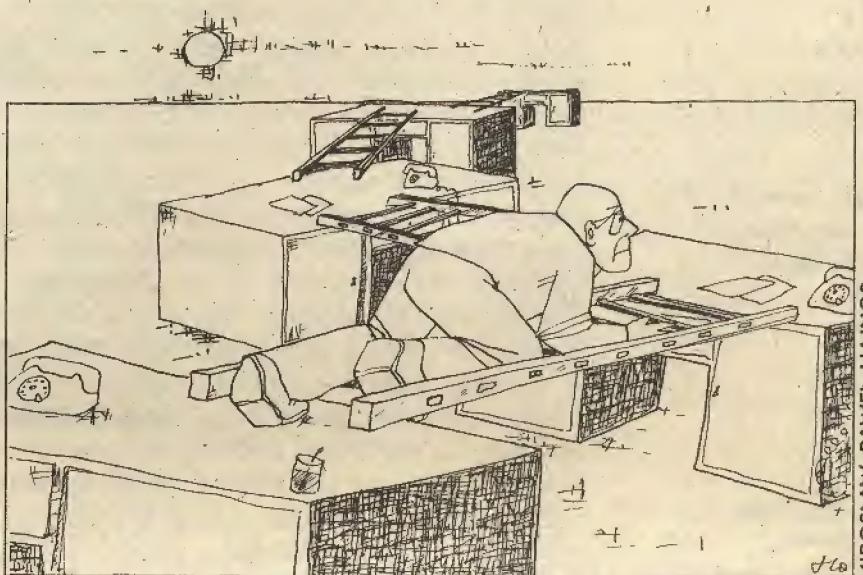
— Pamiętałem, a jakże, pamiętałem — szepcze dziadek — ale nie miałem czasu. Na ptakim cały dzień połowat. Złapałem cztery gołębie. Jutro urodziny

babci, zrobimy ucztę. Będziemy mieli prawdziwy bal...

Moja duszę zalewa radosne ciepło. Do rozmowy włącza się kużyn Adolf:

— Mięsne kartki, co z nich żadnego pozytku, wymienitem na cukier — mówi. — Cukier, datem takiemu jedemu, co pędzi Ibimber. Za litra jeden alkoholik obiecał odsprowadzić swoje buty zimowe. Męskie wprawdzie, ale babcia może utkać w palcach sianem lub papierem.

Uściśkałem kużyna Adolfa. Uściśkałem bardzo serdeczne. A jednak jesteśmy szczęśliwą rodziną — pomyślałem sobie.



MIROSLAW PAWEL HAJNOS

JAK ZUŻYTKOWAĆ DODATKOWE PÓŁ KILO CUKRU NA KARTKI

/Kacik kulinarny/

Bierzemy pieczywo czerstwe, może być bułka, niekoniecznie wypieczona, ewentualnie inne pieczywo bułkopolodobne, po czym siadamy na jakimś sprzęcie, żeby było wygodnie. Następnie przystępujemy do czynności wierceńia bułki. Z jednej i drugiej strony pieczywa robimy zaczątek otworu ikolcentrycznego. Następnie podejmujemy z głowy decyzję, z której strony bułkę będziemy wiercić. Kiedy decyzję mamy już z głowy wykonujemy otwór priorytetowy najpierw z jednej strony, potem z drugiej, aż do połączenia obu otworów. Jak wykazały badania empiryczne kanał między obu otworami nie może być większy niż średnica bułki.

Przystępujemy teraz do sporządzenia nadzianka. Uprzednio przygotowany cukier z wodą napaśkujemy od strony tylnej, zabezpieczając dwiema pineskami

i tekturką, przed samowolnym wylewaniem się. Uwaga — cukier musi być ścisły, zwięzły, i nie może się gibać!

Dodatkowe wzmacnianie uzyskujemy przez założenie konstrukcji naśnej złożonej z dwu blaszek i śrub załanych żywicą epoksydową. Górnego otwór kreujemy roztapiając uprzednio w ronelku cukier na mały lukrową.

Wartość smakową całości zabezpieczamy resztkami lukru. Wkładamy na chwilę do wygrzanego pieczyka. Do alkoholu można podawać sól i pieprz z kawałkiem ogórka lub cebuli.

Hasło na jutro: Bez tartej bulki kotlety mielone są o połowę mniejsze.

Przyrzekł:
Wojciech Kawecki



Ostatnio czulem się nie najlepiej — opowiada znajomemu bankier Rothschild — toteż postanowiłem złożyć wizytę znanemu specjalistie, doktorowi Grubberowi. A jakże, zbadat mnie, opuści, przepisał lek i wziął trzysta franków.

— To bardzo duże honorarium — zdziwił się znajomy.

— Trudno — westchnął bankier — lekarz musi żyć. Wprost od Grubbera udało się do apteki i wykupiłem lekarstwo. Kosztowało dwadzieścia franków.

— Szalenie drogie! — pokręcił głową znajomy.

— Trudno — rzekł bankier — aptekarz musi żyć.

— No cóż — zgodził się znajomy — najważniejsze by lekarstwo przyniosło znaczącą ulgę.

— Gwiazdę na lekarstwo — porskanął bankier. — Natychmiast je wyrzuciłem.

— A to dlaczego?

— Przeież ja też muszę żyć!



Baron Bessampierre odznaczał się wyjątkową tępotą i grubiaństwem, choć był tolerowany w salonach Paryża z uwagi na wysoką pozycję majątkową.

— Ja — zwierzał się kiedyś poznanyemu przyjacieliu oficerowi gwardii — ożenitem się wyłącznie dla pieniędzy, toteż od momentu zaślubin ani razu nie dzieliłem sypialni z moją żoną. A pan, pułkowniku?

— Chętnie odpowiem, baronie, jeśli wyjawisz mi nazwisko panieńskie swojej małżonki.

JEDNAK JEST JESZCZE COS, CZEGO NIE WŁACZONO DO SYSTEMU KARTKOWEGO...



Dwaj oficerowie z pułku kirasjerów marzeczą przy winie na swych ordynansów.

— Mój — powiada kapitan Besier — jest tak potwornie głupi, iż czasami zastanawiam się czy to nie idiota. Zresztą przekonasz się sam, poruczniku. Hej, Jean — wzywa ordynansa — masz tu jednego franka, skocz-no do sklepu i kup mi tuzin koszul.

— Rozkaz, panie kapitanie! — salutuje Jean i odchodzi.

— I cóż pan na to? — śmieje się kapitan. — Ten dureń chce za jednego franka kupić tuzin koszul...

— To jeszcze nic — mówi porucznik — przekonam cię, kapitanie, że ja mam większego półgłowka — po czym wzywa swego ordynansa.

— Słuchajcie, Marcel — pójdzicie do kasyna oficerskiego i sprawdzicie czy nie ma tam obecnego tutaj kapitana Besier.

— Rozkaz! — salutuje Marcel i odchodzi.

Oficerowie śmieją się do rozpuku, natomiast obaj ordynansi spotykają się przed kwatery swych pryncypałów i rozpoczynają rozmowę.

— Mój kapitan — mówi Jean — to kompletny idiota. Kazał mi kupić tuzin koszul, jakby nie zdawał sobie sprawy, że teraz, o północy, wszystkie sklepy zamknięte.

— To jeszcze nic — stwierdza Marcel — mój porucznik, ten dopiero ma potężnego kręčka. Kazał mi sprawdzić w kasynie czy nie ma tam twojego kapitana, jakby, dureń, sam nie mógł go o to zapytać.

Wprzedziele podiagu zmierzającego do Dundee podróżuje dwóch pasażerów: stary Szkot i młody Anglik. W milczeniu upływa jedna godzina, upływa druga, wrzeszcze na rozmowę decyduje się Anglik:

— Przepraszam paną, czy można zapytać, która jest gadzina?

Szkot obojętnym wzrokiem omija zmieniający się za oknem horyzont, jakby pytanie wcale nie dosłyszał. Wspólny pasażer ponownie zwraca się do niego, ale Szkot milczy i nie okazuje najmniejszej ochoty by zerknąć na zegarek. Trochę już podenerwowany Anglik mówi:

— Wybaczy pan, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego ignoruje pan moje pytanie?

Na to Szkot iz groźną miną:

— Skoro tak pan się naprawsa, to wyjaśnienie: gdybym zdecydował się na odpowiedź, to kto wie czy nie potoczyłby się dalsza rozmowa. A ponieważ ma pan wygląd sympatycznego młodzieńca, być może zaprzyjaźnilibyśmy się w czasie tej podróży. Można też przypuszczać, że po przybyciu do Dundee zaprosiłby mnie pan do baru na drinka, a ja, wrewanżu, zaciągnąłbym pana do mojego domu. Oczywiście, przy kolacji, poznalby pan moją piękną córkę Sarę i jestem świecie przekonany — zakochałby się pan od pierwszego wejrzenia. Nie ukrywam młodzieńcze, że i ty byłbyś jej co najmniej mila. I wówczas nastąpiłoby to najgorsze: oświadczyłby się pan o rękę tej cudownej dziewczyny. A ja nie myślę wydać ją za pierwszego lepszego holysza bez własnego zegarka.

— O, za pozwoleniem! — żachnął się Anglik: — Zechce pan przyjść do mojego domu, że mam tuzin zegarków, ale właśnie tego, który noszę przy sobie, zapomniałem nakręcić. Ponadto, mój panie, żeby sprawie wyjaśnić do końca, pragnę oświadczenie, że jako jedyny spadkobierca lorda Buzzneya nie jestem jakimś tam sobie holyszem, ale dżentelmenem, człowiekiem skądnąd majątym.

— To zmienia sytuację — rzekł Szkot.

— Skoro jesteś pan dżentelmenem z pozycją majątkową nic już nie stoi na przeszkodzie, abym poważnie przyjąć państwa oświadczenie i oddał mu rękę pięknej córki Sary. Podaję, mój synu, godzinę tego wydarzenia: jest kwadrans po piątej...



— Przepraszam, zainteresuje paną mój nawis inflacyjny?



Krystyna Zielińska

Sluchając jej wywołów
Dziwi mnie dlaczego
Nie została ministrem
Handlu wewnętrznego.

LANCET

To jest życie

Wygłada na to, że czynione są próby, aby w programie telewizyjnym coś się zaczęło działać. Edyta Wojciech i Jerzy Wunderlich, podzieleni monitorami na dwoje (nieantagonistycznych wszakże), zapowiedzieli poważne zmiany, dotyczące głównie „dwójki”. Otóż drugi program od dany zostaje poszczególnym redakcjom oraz ośrodkom regionalnym. Może to oznaczać jakąś, w dobrze pojętym sensie, rywalizację między obu programami, czego zresztą telewidzowie domagali się od dawna. No i jeśli pojedzie tak jak zapowiedziano, to z wola zaczniemy się przenosić na „dwójkę”.

Z zapowiedzi wynika, że program pierwszy bronić się będzie przed konkurencją zwiększeniem dawek tak zwanej rozrywki na schodach i na lustrzanych estradach, w wykonaniu piosenkarko-tancerek błyszczących od czubka głowy po obcasy, śpiewających głównie w językach obcych. Czego ja osobiście w ogóle nie uwaliam za rozrywkę, ale to mój prywatny gust.

Mnie się marzy w języku

polskim Olga Lipińska, Stasi Panowie, Wojciech Mlynarski, Zenon Łaskowik, Andrzej Rosiewicz i jeszcze kilka innych osób, jednym słowem coś swojskiego, bo wreszcie dorobiliśmy się silnej kadry satyryczno-liryczno-rozrywkowej, tyle, że telewizja dawkuje ją homeopatycznie i jakby niechętnie, w zamian serwując hałaśliwe dźwięki z taniutkiego importu.

A dźwięki są dla życia bardzo ważne, o czym przekonali nas w radiowych „Sygnatach dnia” Tadeusz Kurek i Zbigniew Kamiński, dowodząc, że bez dźwięków nie ma życia, a jeden przykład, oparty na jajach, był nie do zbiacia, choć to brzmi jak paradox. Otóż z jaj, ułożonych w inkubatorze gesto, na stiku, wykluwa się więcej i zdrowszych kurczaków niż z jaj ułożonych luźno, z dala od siebie. Jeśli więc już takie kurze embriony lubią czuć koło siebie towarzystwo i porozmawiać choćby przez ściany, to co dopiero mówić o człowieku.

Jedynym dźwiękiem, który wydaje mi się mało pozytywny towarzysko, jest zgrzytanie zębów. A to przypomina mi znów jiną audycję „Sygnatów-

IBIS-GRATKOWSKI



podsunął mi również pomysł racjonalizatorski. Otóż ten (prawdopodobnie) młody człowiek, Janusz Tomczyk ze Szczecina, ul. Wąska 11 zresztą, nie szczędząc papieru i fatygi napisał, by wyrazić pełną dezaprobatę dla mojej twórczości. Nudne to, ciągnie się jak guma do zucia, spłonne, styl ciągle ten sam i w ogóle czytać się nie daje. Więc pan Janusz proponuje, by nazwę rubryki zmienić na „Duperele”.

Otoż niestety, pomysł jest truizmem. Istnieje bowiem tyle pism poważnych, że można się naczytać do zesmużenia. Musi więc być jedno, które zajmie się (pardon) duperelami. No i taką mammy nie piszą umowę z czytelnikami. A jeśli ktoś nie lubi, to jest na to prosty sposób. Samo go stosuję wobec autorów, których nie lubię. Po prostu nie czytam. Chyba, że się jest czytaczem, a nie czytelnikiem.

Co sprawda mnie się dużo rzeczy nie podoba w telewizji, a oglądam, ale to jest mój zawód. Który notabene też się nie wszystkim podoba. C'est la vie!

TERESA

TRĄBKA EUSTACHIUSZA

„Liczę Tatuś i się głowi,
placze pióro w małych dloniach
i ze zgrozy Tatusiowi
rośnie z ucha pelargonia...”
(K. I. Gałczyński – z wiersza Tatuś)

Ogórek. Słonko. Ptaszki. Kwiatki:
tuberkuloza, bez, bławatki.
Ciepło. Przyjemnie. Tu po pracy
żyje i tworzy pan Ignacy.

I dzień za dzionkiem, noc za nocą --
a nocą gwiazdy się trzepocą,
a nocą księżyc, srebrny nierób,
muzyka sfer i smak eteru...

Zima, w bamboszach, przy kominku,
samowar szumi po rosyjsku,
mróz, chłód i wicher -- cóż to znaczy,
gdy tworzy (sobie) pan Ignacy!

Aż którejś nocy, w straszną płuchę,
gdy świerszczyk świerszczyl tuż nad uchem,
wyrosła Ignacemu z ucha
mosięzna trąbka Eustachiusza!

Stalo się. Trudno. Nie odstoisz.
Nie urwiesz żywcem. Nie odkroisz.
Wyrosło. Zwisa. Trąbi czasem.
Czasem dyszkantem, czasem basem.

Już pisal kiedyś imion dwojga
Konstanty Komilfo Gałczyński
(a potem, wiecie, byla wojna,
dziejowa zamieć i mur chiński),

że też jakiemuś Tatusiowi
wyrosła z ucha pelargonia
i biedak zatrul się grzybkami
i – mówiąc krótko – śmierć, agonia!

A dzisiaj? Cóż ma Ignacy robić?
Czy liczyć na to, że się zmieni --
a przez ten czas niesforna Trąbka
obchodzić będzie dzień imienin?

Cóż – demokracja. Inne czasy!
I już dokonał się dóbr podział.
I rewolucja już nie straszy
I wrzesień już spażdziernikowiał.

Zabrakło rydzów i grydzyków,
więc czym się zatruci -- miazmatami?
Na świecie tylu zdrowych byków
a tutaj... Trąbka pod uszami!

Jakąż dasz radę, Ildefonsie,
(Którego wielbię aż po uszy),
by Ignacemu bezboleśnie
Odpadla Trąbka Eustachiusza?



Taka zawartość paczki zagranicznej gwarantuje dotarcie jej w całości do adresata w kraju.

kartki z blekotnika



Interpretacje

— Dostałam bilety na „Królewę Śnieżkę” — jakby triumfalnie oznajmiła ciocia Helenka.

— Chodzisz na przedstawienie dla dzieci? — zdziwił się Konio.

— Skądże, to przedwojenny film disneyowski, dorosły też się zachwycają — wyjaśniła ciocia Helenka.

— Sam bym chętnie zobaczył jeszcze raz, oglądałem przed wojną — niespodziewanie wyznał dziadek.

— A propos, zaraz będzie w telewizji „Klamstwo Krystyny” — przypomniła sobie babcia.

— Pewnie znów o jakiejś alkoholiczce, która w dodatku kłamie — jęknęła Lila. — Ja już nie mogę patrzeć na te filmy o pijaczkach. Jednego dnia Barbara Wrzesińska, drugiego Nathalie Wood, a potem Gabriela Kownacka.

— Kownacka pila z dużym wdziękiem — uśmiechnął się do tego wspomnienia dziadek, który jest wielbicielem Kownackiej.

— Chciałem zauważyc, że to nie aktorki piły, tylko ich bohaterki. Aktorzy piią albo czystą wodę, albo jakąś lemoniadę i bardzo im to nie smakuje — upominał się za artykułami Konio. — Tylko szampan musi być prawdziwy, bo nic tak nie chce strzelać i musować.

— Co wy tu opowiadacie o alkoholiczach, kiedy ja chce oglądać „Klamstwo Krystyny”. Ona była nadzwyczaj porządną dziewczyną — zdenerwowała się babcia i włączyła telewizor.

— Ja już jestem głodny — przypomniał sobie Jacek.

— Poczekaj trochę, niedługo będzie obiad — pocieszyła go babcia.

— A co będzie na obiad?

— Sadzone jajka.

— Po ile?

— Po piętnaście złotych — odparła babcia z roztargnieniem.

niem, bo na ekranie już się pojawiła młodzutka Elżbieta Barszczewska, uczciwie choć mało skutecznie, zarabiająca na życie.

— Ja się pytałem po ile jajek będzie na obiad — uściślił pytanie Jacek.

— Po dwa, a jak zechcesz więcej, to dostaniesz i nie zwracaj mi głowy — zakończyła sprawę babcia.

— Na jeden obiad, to wystarczą dwie minuty życia — powiedziała Lila, jakby od rzeczy.

— Co ty bredzisz? — uprzejmie zapytał Jacek.

— W „Przekroju” napisali, że zjedzenie jednego jajka skracia człowiekowi życie o jedną minutę — wyjaśniła Lila.

— Moździe nie jeść jajek, będzie też brukselka — mrucnęła babcia.

— Boże, jaką ona piękną — westchnęła ciocia Helenka,

patrząc na Barszczewską, do której los się właśnie uśmiechnął i dostała posadę sekretarki.

— O! To jest stryj-zboczeńiec z „Gehenny”! — wykrzyknęła Lila, dostrzegając na ekranie dyrektora-dobrodzieja Krystyny.

— To znany przedwojenny aktor Bogusław Samborski, a nie żaden zboczeńiec — sprostowała babcia. — Żeby nie te przedwojenne filmy, to nie mielibyście pojęcia o wielu znakomitych aktorach polskich.

— Ja już coś podobnego widziałam — powiedziała Lila, kiedy film się zakończył. — Chyba w operze. Też był taki ojciec, który prosił ja, żeby się odczepiła od jego syna i ona się poświęciła. Albo jakiś taką książkę czytałam.

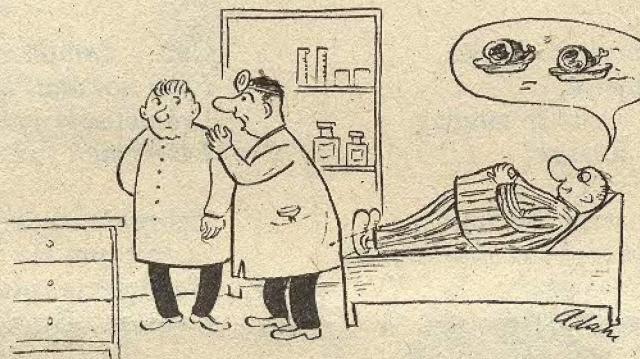
— „Traviata” i „Dama Kameliowa”, ignorantko — łagodnie uświadomił kuzynkę Konio.

— Ale to jest ładniejsze, bo się dobrze kończy — oceniła ciocia Helenka.

— To może teraz skrócimy sobie życie tymi sadzonymi jajkami? — wrócił do rzeczywistości dziadek.

Ale jajka na obiad były jakby mniej smaczne, niż zwykłe. Może dlatego, że nikt nie uświadomił sobie, że i tak codziennie skracą sobie życie o jeden dzień.

ADAM BIEŃKOWSKI



— Stan jest ciężki, bredzi o latających talerzach z golonkami!

TERESA

WOJCIECHOWSKA



ADAM BIEŃKOWSKI

MAREK WAISBORD
„KROKODYL”

Pomarańcza

Nie mogę zrozumieć ludzi, którzy jak kot z pecherem biegają po mieście w poszukiwaniu pomarańczy. Nie rozumiem!

Bo i co w nich dobrego? Pomarańcze przysparzają tylko kłopotu. Ot, macie przykłady:

Do naszego przedsiębiorstwa zajrzał kiedyś klient. Wali prosto do mnie. Tak i tak, wyluszcza sprawę. Decyzje trzeba podjąć natychmiast.

Zajęłem się nim. Klient okazał się rzecowy, a ja ze swojej strony wykazałłem dobrą woli. Podjąłem decyzję, i klient otrzymał potrzebne mu zlecenie.

– Nie wiem, jak się panu odwdzięczyć! – rozplynął się w uśmiechach.

– Co za skrupuły! To moja

praca, to mój obowiązek.

– Rozumiem, ale jakoś mi głupio. Zostałem załatwiony pozytywnie i co najważniejsze, od ręki.

– Wszystko jest w porządku. Przecież tak być powinno...

A on sięga do teczki, grzebie w niej i wyciąga pomarańcze. Ogromna. Apetyczna. I nieśmiało kładzie ją przed mną.

– Mam nadzieję, że pan się nie obrazi – tłumaczy cichutko – chociaż takim drobiazgiem chciałbym okazać wdzięczność.

– Drobisz, jak pan mówi, ale miliutki. Dziękuję. Do zobaczenia. Polecam się na przyszłość...

Klient wyszedł, a ja nie wiem, co zrobić z podaniem. Na biurku papiery, pieczętki, segregator, a tu prywatna pomarańcza.

Wchodzi nasz pracownik, Dynowski. Spojrzał na owoc i powiedział:

– Skąd to wytrzasnęła?

– Został jakiś dziwak. Nawet nie wiem, co z tym robić?

– Nie przejmuj się – uspokoił mnie. Nie ma sprawy. Znajdziemy jakieś wyjście. Siniebriuchów skoczy na róg i wszystko będzie w porządku.

I rzeczywiście Siniebriuchów skoczył i wrócił z butelką. Obraliśmy pomarańczę, pogadali, przekąsili. A w butelce jeszcze trochę zostało. Trudno było wylewać do zlewów.

– Czego się martwicie chłopaki? – zajrzał do pokoju Pyżow z sąsiedniego wydziału.

– Czy macie jakiś kłopot?

– Mamy. Zagrycha. W butelce jeszcze coś chlupoce – wy wyjaśnił Dynowski.

– I to was martwi? Mam w biurku jabłka.

Po chwili jabłka leżały obok skórki pomarańczowej. Wystarczyło ich do zakąszania. Jeszcze zostały.

Siniebriuchów znowu skoczył na róg i przed naszymi

nieco zamglonymi oczami pojawiła się nowa, pełna butelek.

Wypiliśmy – zakąsili. Zakąsili i znowu kieliszek. A na talerzu zostały tylko skórki po jabłkach. Złośliwość rzeczy martwych spowodowała widać, że znowu w butelce dno było przystanięte sporą warstwą płynu.

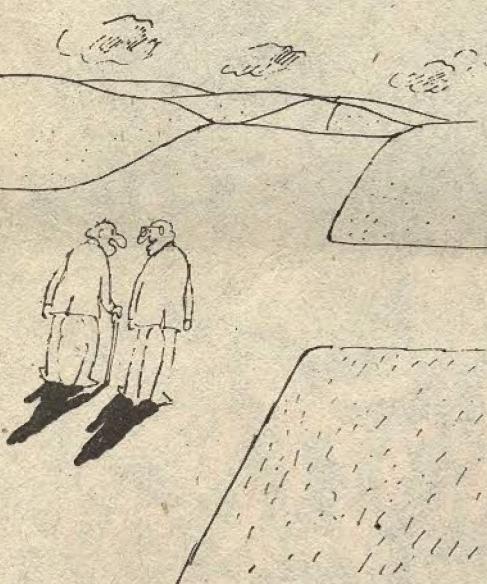
Pyżow skoczył do bufetu. W bufecie znołał tylko cukierki. Marna to zakąska, ale droga do sklepu, na ulicę, wydawała nam się zbyt skomplikowana.

Dynowskiego zmorzył sen, a mnie, nie wiem dlaczego, zaczęło się płakać. Siniebriuchów zgarnął z biurka moje pieczętki, wpałkał do teczki jakiś segregator i wybelkotał, że idzie pracować do domu.

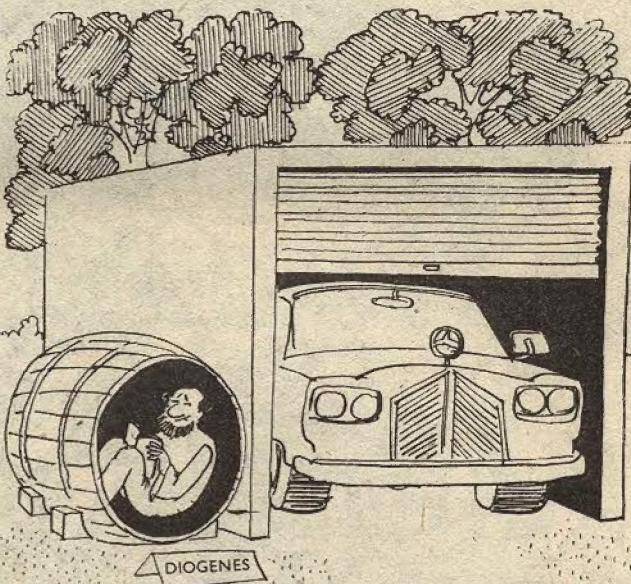
Siedzę więc i myślę co to za zdrodliwy owoc – pomarańcza. Kto coś takiego mógł wyhodować!

(bp)

„THE NEW YORKER”



„OSTEN”



– Mając 18 lat zacząłem myśleć o życiowym sukcesie i nie przestawałem weń wierzyć w wieku 28, 38, 48, 58, 68 i 78 lat. I wreszcie, kiedy byłem już skłonny sądzić, że na żaden sukces nie mogę liczyć – ukończyłem 88. To olbrzymi sukces!

karuzela

Czasopismo satyryczne
Robotniczej Spółdzielni
Wydawniczej
„Prasa-Książka-Ruch”.
Adres redakcji:
90-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 96.
Telefony bezpośrednie:
314-32, 406-46
Centrala: 293-00

Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIENKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIĘBIAŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMIŃSKA (red. techniczny), KAROL BADZIAK. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne 90-950 Łódź, ulica Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstu nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadeskanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej w kraju wynosi 120 zł. Prenumerate za granicą przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Numer zamknięto 30.X.1981 r. Zam. 2333 – K-2. Nr indeksu 36254

Opracowanie graficzne
HALINA SIBIŃSKA



WYSTAWIŁEŚ
BUTEŁKĘ
NA MLEKO?

ALEKSANDER SROCZYN